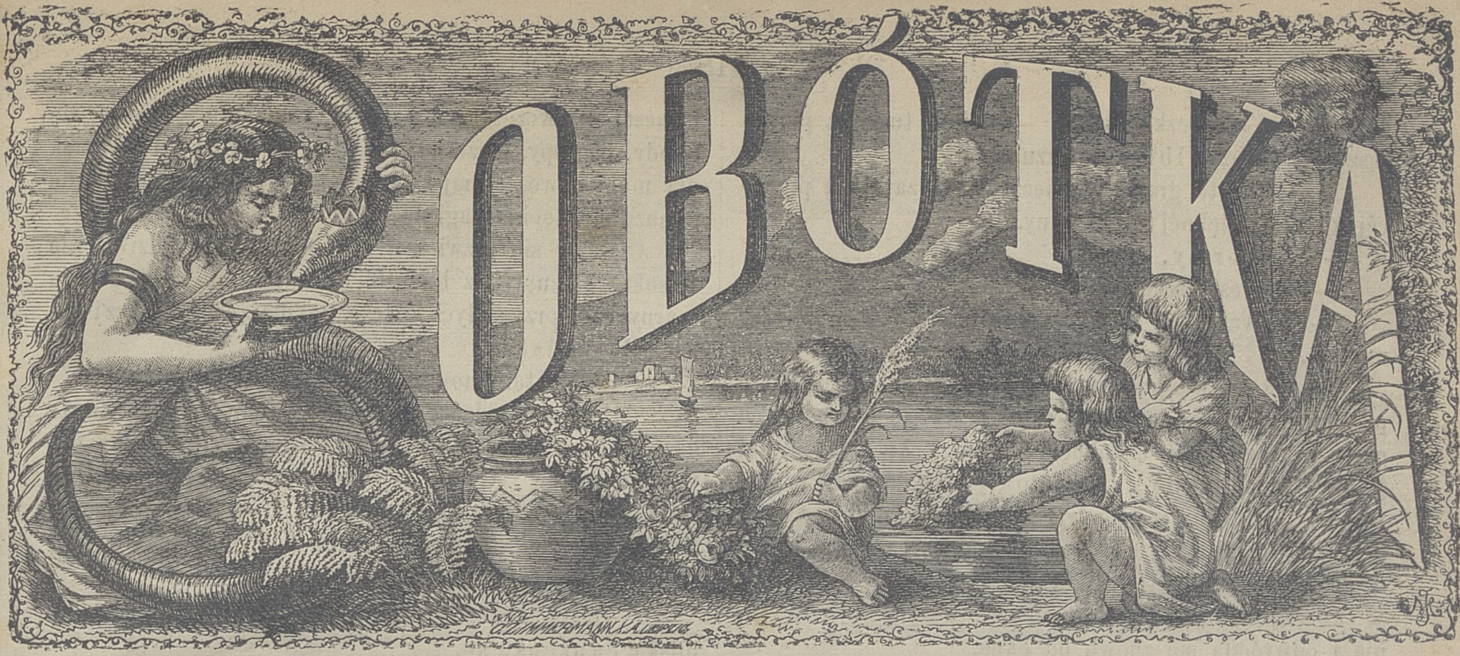


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 52. Poznań, dnia 25 Grudnia 1869. Rok I.

DZIS.

Powiastka

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dokończenie).

VI.

W świątoszewskim pałacu, w ozdobnym salonie, płynęły dźwięki fortepianu biegłą poruszone ręką — a śliczne były to rączki i piękna postać niewieścia, która je wywołała. Skończyła trudną kompozycyą — tony przewiały — i powstała; wysoka a kształtna, zwolna odsunęła taburet i ku środkowi pokoju pomknęła. Twarz rysów regularnych, płci nieco śniadawéj, lecz gładkiéj a świeżéj, dwoje czarnych ożywiało oczów w podłużnéj



Gościnny dwór w Warszawie.

oprawie — co Francuzi en amande zowią — i wyraziście narysowana brew czarna. Ciemne, niemal czarne włosy, z tyłu w zwój modny ujęte, złota spięła opaska. Suknia z materyi zielonéj, jak smaragd — wkliny, powłóczysta — i takiż sam paletocik gronastajami obłożony, ładne stanowiły ubranie.

Na wysuniętéj kanapce, przy marmurowym stoliku, siedziała kobieta lat średnich — w czarnéj aksamitnéj

zarzutce, w czepeczku białym — dobréj tuszy a piękna jeszcze i jakieś album przerzucała.

— Cóżeś to grała, Gienieczko? — zapytała płynącéj ku niéj, pięknéj dziewczyny.

— Z Normy, mamo.

— To jest śliczne.

— Nowa jakaś kompozycya nieznanego jeszcze mistrza.

Matka znowu przerzucała stronnice. Młoda piękność po salonie chodziła. Wyjrzała przez jedno z trzech okien w oramieniu ozdobném — przy których firanki tuilowe, a na tychże z amarantowéj materyi nieco przedwczesne cienie na palisandry, zwierciadła, obrazy i kandelabry rzucały. Przed oknami obszerny rozpostarł się dziedziniec. Wprost była brama murowana.

— Mglisto, dżdżysto, ponuro — wymówiła Eugienia i odwróciła się znowu od okna.

— Nudzisz się.

— Och nie. Gdyby tylko pogodnie było i ciepło... a wszakżeż to już kwiecień.

Stanęła przy kominku, wsparła się o gzyms marmurowy — i patrzyła zadumana na żglące węgle, które już zwolna czarniawy pyłek powlekać zaczął.

— Obumierają — poszepnęła — niedawno jeszcze ogniem żyły. pełnią znikomego życia.

— Kto? zapytała matka.

— Węgle! — zaśmiała się panna.

— Och! Co też...

— Tak przetrawia się wszystko... i znika.

— Jesteś dość gorżko usposobiona, Gienieczko. Co tobie?

— Nic, mamo... chyba brak zajęcia.

— Rozrywki.

— Raczéj może pracy.

— Co też ty gadasz!

— Bezczynność sprowadza przesyt i wszystkiemu niemal wstrętną nadaje powłokę. Praca w koło każdy przedmiot upięknia

— Zkąd tobie takie myśli?

— Chodziłam dziś po ogrodzie. Pracują tam dziewczęta, kopią, a śmieją się, śpiewają, wesołe jak ptaszki... że aż pozazdrościłam. Pobiegłam do siebie i zaniosłam im wstążki, kwiaty... śmieć fatałaszków. I jakżeż były szczęśliwe!... Oby trwać w takim stanie, że lada gałganek radość sprawić potrafi!

— Filozofujesz.

— Przerzucały wilgotną ziemię, mając na bosych nogach tylko chodaki jakieś. Ręce czerwone od zimna i pracy, a były wesołe i wszystko uśmiechało się do nich — spojrzała na marmury, aksamity, zwierciadła, obrazy — i ciche stłumiła westchnienie.

— Potrzeba nam gdzie wyjechać.

— Wyjechać?! Po co? Dosyć już tego było. Raczéj przylgnąć, przyrość do tego kawałka ziemi.

— Jesteś dziwnie usposobioną.

— Coś mnie gniewa, coś mnie boli... Zdaje mi się, że jak marnotrawca staję przed szkatułą otwartą, która dawniéj zawierała skarby, a teraz próżnią przeraża mnie swoją.

— Gienieczko!

— Przesyciłam się Dreznem, Paryżem, Ems, Spa... I raczéj dziewczęta wsi polskiéj, rolna praca, pasące się trzody, chałupy, strzechy, kury, gęsi i kurne baby wdzięk dla mnie nowości mają — rzuciła się przy fortepianie i mazura Chopina zagrała.

Otwarły się drzwi i wszedł mężczyzna sędziwy, nie wysoki, szczupły, z bielutkiemi włosami przy oczach czarnych, nieprzygasłych jeszcze, trzymając w ręku Dziennik Poznański.

— A co tam nowego, Ludwiczku? zapytała pani.

— Zawsze jedno i to samo — odrzekł, porzucając gazetę — raz wojną straszą, to znowu trwały przepowiadają pokój. Ale go zaprawdę ostatnie nie uświęciły traktaty. A najgorszą jest ta ciągła niepewność, paraliżuje wszystko, stagnacya ogólna...

— Zaturkotało.

— Ktoś jedzie — wymówiła Eugienia, siadając na bliską causeuse'kę.

Pan Gorzelicki przystąpił do okna.

— Któż to, papko?

— Pan Zarzewski z Laskowa. Ale jeszcze i ktoś drugi.

Chwila milczenia. — Lokaj w czarnym surducie i popielatych kamaszach drzwi otworzył, wszedł pan Zarzewski — a za nim Leon.

— Mój siostrzeniec, Leon Wiesławski — przedstawił go wujaszek.

— Witam kochanego, łaskawego pana — podał mu rękę gospodarz, a potem i młodemu. — Moja żona i córka.

Pani Gorzelicka uprzejmym wyrazem powitała gości. Eugienia podniosła się z kanapki, podała rękę dawnemu znajomemu i znowu przysiadła.

— Jedziemy z ** — zagadał pan Zarzewski — więc raczycie państwo dobrodziejstwo wybaczyć nieformalności wizyty. A niepodobna mi było przejechać i o gościnne nie zawadzić Światoszewo.

— Gość w domu, Bóg w domu, niesie praojców przysłowie. Jeszcze też gość taki kochany, szanowny, w każdéj pożądanym jest chwili — odrzekł gospodarz domu. A żona jego dodała.

— Ucieszysz nas prawdziwie, panie, ile razy do nas zajrzeć raczysz. Zechciejcie panowie miejsca zająć.

Panowie usiedli.

— Podróży pańskiéj nie sprzyjała pogoda.

— Ociepliło się teraz. — A pani co porabiasz? zwrócił się Zarzewski do Eugienii.

— Wyglądam wiosny — uśmiechnęła się.

— Téj wyglądamy wszyscy.

— Może ja więcéj.

— Jako siostrzyczki swojéj — wymówił z galanteryą wujaszek Leona.

— I mama cieplejszego potrzebuje powietrza — rzuciła panna, obojętna na powyższy komplement.

— Żeście to państwo tak wcześnie ów nowożytny porzucili Babylon.

— W marcu — odrzekł pan Gorzelicki. — Miałem pilny interes, który mnie wołał do domu, a moje panie bezemnie pozostać nie chciały.

— Dosyć też już było nużącego gwaru téj metropoli świata — dodała panna.

— Myślałem, że młoda i piękna pani potrzebuje wesołéj wystawy stolic.

— To wcześnie się przeje. A dziś wolę wieś, w każdéj nawet porze; wioska, chaty, pola, wdzięk dla mnie mają i nowość — zaśmiała się z powabem nieokreślonym.

— Tak, to jest prawda wielka, że te gwary wielkiéj stolicy, towarzystwa świetne, wystawa, serdecznie z czasem zmęczą. Że oprzykrzą się podróże — mówiła pani Gorzelicka — i tém więcéj zapragnie się potém spokoju domu i życia wiejskiego. Przyczyną, jak wiadomo, tych podróży naszych i przebywań za granicą, jest moje zdrowie natwątlone. Ale odtąd już w domu leczyć się wolę.

— W tym-czasie pan domu wciągnął Leona w pogadankę, wysnuwając przed nim swoje polityczne widzenia i kombinacye, z któremi popisywać się lubił. Nawykł do tego, zwłaszcza też w różnych kołach paryskich — i zdawało mu się, że jest bardzo biegłym politykiem — a znamienitym byłby dyplomatą. Byłto zresztą zacny człowiek — Polak — obywatel — i poczciwy ojciec rodziny.

Służba wniosła na srebrnych tacach wina pare gatunków — bakalie różne i ciasta. A niezadługo i ciężkie kandelabry z światłem gorejącém.

Pan domu kazał ogień na kominku rozniecić. Fortepian znowu dźwięcznemi zabrzmiał tonami — i niby wesele zaległo biało stukowane ściany salonu.

VII.

Leon odwiedzin swoich u pani Żeglińskiéj zaprzestał. Matka dziwiła się temu, wynajdując zawsze jakieś uniewinniające powody. Walentyna milczała — niezdradzając się i jednym wyrazem. Była blada chwilami — i znowu cudnie różowa niekiedy.

Dnia jednego spotkał Antoni na ulicy pana Leona — a był dziwnie zmieniony, znękany niby, blady i smutny. Zapytał go o zdrowie pań głosem stłumionym, niepewnym — wyrzekł, że ma nawał interesów na głowie i kłopotów — i pożegnał zdumionego chłopca.

Pan Węgrocki jawił się dość często — ale zawsze na krótko tylko, — by nie przekroczyć zastrzeżenia pani Żeglińskiéj. Znowu dnia jednego przybyła w odwiedziny pani dyrektorowa. Posiedziała, popieściła Walentynę — i mówiła wiele o zacności pana Węgrockiego. Gdy się pożegnała a gospodyni domu ją wyprowadziła — pani dyrektorowa zażądała, by jéj słów kilka na osobności powiedzieć mogła. Weszły do sypialnego pokoju — i przyjaciółka Węgrockiego formalnie dla niego o rękę Walentyny prosiła.

— Zaszczyt to prawdziwy — odrzekła matka — i przedstawię Tyni jego zacne chęci. Zostawcie mi państwo tylko dwa, trzy tygodnie czasu. Przysposobię ją... ona taka jest tkliwa!...

— Uważam, że od pewnego czasu znowu pomizerniała.

— Tak. Ale to pewno chwilowo tylko. Przecie już wyglądała tak dobrze.

— Zaprawdę, że całym zakwitła urokiem. Coś jéj wszelako teraz nie służy znowu. Tego też właśnie pragnie pan Węgrocki... moja droga pani — ujęła jéj rękę i niby zawahała się, jakby to wypowiedzieć, co miała na myśli, a nawet i poleconém jéj zostało — moja droga pani... pan Węgrocki pojechałby z nią do wód. Radziłby się lekarzy w Dreznie, w Berlinie...

— Och wierzę!

— Prosiłby panią łaskawą, byś im towarzyszyła.

— Poczciwy!

— A panna Walentyna rzeczywiście wód potrzebuje.

— Pomówię z nią, przedstawię jéj wszystko. Tylko czasu, dwa, trzy tygodnie! — Pani Żeglińska ciągle jeszcze na Leona liczyła.

— Przypuszczałam, że panna Walentyna domyśliła się uczuć pana Węgrockiego.

— Nie mówiłam z nią nigdy o tém. Była słaba, doktor zalecał spokojność...

— Ale teraz.

— Pomówię z pewnością, pomówię. Nie mogę lepszego pragnąć zięcia, jak pan Węgrocki. Wiem, że jemu szczęście dziecka mojego powierzyć mogę.

— Ręczę za niego sumieniem całém! Szlachetny człowiek kocha pannę Walentynę, o ile kochać można i gotów do wszelkich dla niéj poświęceń. Niepodobna, by tego odgadywać nie mogła.

— Być może. Ale ona jest tak skromna.

— Uważam, że smutna.

— Słaba.

— Wiosenne powietrze powinno ją posilić.

— Gdyby tak na wsi! Wyjeżdżałyśmy codziennie, ale to nie dość.

— To też wody, rozrywka, będą bardzo dla niéj skuteczne.

— Myślę, że przychylną dam kochanéj pani odpowiedź. A dziękuję serdecznie za przyjazne chęci pani dyrektorowéj.

Uścisnęły się życzliwie. Pani Żeglińska do Walentyny wróciła, która w swoim fotelu jakąś angielską czytała powieść. Matka spojrzała się na nią — i uderzyła ją jéj piękność dziwna i płeć przejrzysta i wyraz anioła — anioła słodyczy i cierpliwości.

— Tyniu, moja Tyniu! — zawołała mimowolnie.

Walentyna podniosła ku niéj oczy, nie ziemskiego blasku.

— Cóż mama powie? zapytała.

— Jakżeż ci, dziecko?

— Bardzo dobrze, mateczko — uśmiechnęła się niby.

— Przyniosę ci arrow-root.

— Dobrze, mamo.

Matka przyniosła. Młoda dziewczyna parę łyżek spożyła — a nie mogła więcéj.

— Przejdziemy się może trochę po świeżém powietrzu.

— Bardzo chętnie, mamo. Tegom właśnie pragnęła i będzie mi lepiéj.

Wyszły. Przy tak zwanym nowym ogrodzie spotkały Węgrockiego — i poszedł z niemi. Pani Żeglińskiéj zdawało się, że rozmowa jego ożywiła Walentynę. Przeszli się po ogrodzie, wiosną umajonym. Posiedzieli chwilę — potém pan Węgrocki odprowadził je

do domu. Pani Żeglińska wszelako nie zatrzymała go na herbatkę.

W parę dni potém powiedziała jéj Kasia, że widziała forszpana pana Wiesławskiego. I nic Walentynie nie mówiąc, zabrała się zaraz i wyszła. Chodziła po ulicach, niby to za sprawunkami — przeszła razy parę obok hotelu Berlińskiego — ale nie spotkała Leona. Za powrotem do domu zawołała Antosia i cichym poleciła mu głosem, by wyszedł i niby nieumyślnie pana Leona poszukał. Chłopiec opierał się trochę — z pewném poczuciem godności — ale i poszedł wreszcie, nie mogąc naleganiom matki czoła postawić. Za półgodziny powrócił.

— A co? zapytała pani Żeglińska.

— Już odjechał. Bawił tylko godzin pare.

— Musi wielkie interesa mieć na głowie, to jest widoczne — pocieszała się. W duszy wszelako dodała: powinien choćby na kwadrans zajrzeć! — i pojąć tego wszystkiego nie mogła.

W połowie maja odebrała pani Żeglińska różne nowalijki wiejskie z Kozielska, wraz z listem od pani Wiesławskiéj:

„Drogiéj, kochanéj Pani donoszę, że dzień ślubu mojéj Idy definitywnie na 15 lipca naznaczony został Ale będzie na nim familia jedynie.

Idka pragnie także do swojéj kochanéj Tyni napisać, nie wiem wszelako czyli potrafi chwilę zachwycić bo właśnie gdy to piszę, nadjechał pan Stanisław. A zakochani dla drugich zwykle mało mają czasu.

Znając łaskawych Pań życzliwość dla naszego domu, winnam także dodać, że mój Leon, starający się o rękę panny Eugenii Gorzelickiéj z Światoszewa, nader uprzejmie i pochlebnie przyjęty został. Jest to jeszcze nieoficyalne, lecz w dobréj przyjaźni zakomunikować mogę.

Jakże tam nasza Tynia kochana? — Uściskaj ją łaskawa Pani serdecznie odemnie.

Z niezmienną życzliwością

Emilia Wiesławska.

P. S. Wszakżeż przewidziałam: Ida na dziś Tynieczkę przepraszać każe, że nie pisze — bo pan Stanisław odstąpić jéj nie chce i sprzeciwia się ciągle. Ale napisze przez pocztę. Całuje rączki kochanéj Pani, a Tynieczkę z całéj ściska duszy."

W zamian tegoż listu przesłała jéj pani Żeglińska następującą odpowiedź:

„Serdeczne podzięki dla łaskawéj Pani Dobrodziejki za tyle przyjazną o nas pamięć.

Cieszymy się niezmiernie szczęśliwym wyborem panny Idy, i załączamy dla niéj uściśnienia serdeczne.

Panu Leonowi piękne życzenia.

Mam sobie także za miły obowiązek donieść szanownéj Pani Dobrodziejce i kochanéj pannie Idzie, że Tynia moja deklaracyą pana Węgrockiego wczoraj przyjęła. Mam nadzieję i wiarę, że wybór ten da jéj szczęście i przyszłość zapewni: zacny to człowiek, szlachetny, rozumny i kocha ją z całéj duszy. Zaraz po ślubie, który w końcu czerwca nastąpi, wyjedziemy do Drezna. Poradzimy się tam Waltera, które wody Tyni zaleci — i zaraz w dalszą puścimy się podróż. Być nawet może, że zimę w cieplejszym przepędzimy klimacie — bo tak proponuje pan Węgrocki.

Tynia załącza ucałowanie rączek szanowéj Pani Dobrodziejce, a serdeczne uściski dla drogiéj panny Idy, którą ja z przyjaźnią całuję.

Z szacunkiem i życzliwością

Jadwiga Żeglińska."

Wuj Leona o rękę panny Eugienii oświadczył — i oświadczenie przyjętém zostało. Narzeczony uznał zalety panny — jéj piękność i rozum — ale nie kochał — i wcale inne majaczyło mu w duszy widzenie i serce krwawiło, — Panna oceniła młodziana, oddała rękę... by raz zakończyć — zawiedziona w śnie niejednym, z niejednego przedwcześnie rozczarowana złudzenia — lecz serce jéj nie wybrało. — Rodzice młodego Wiesławskiego chętnie przyjęli — uleczeni z wymagań dawniejszych i pragnień, jeżeli nie mitry, to dziewięciu pałek przynajmniéj i nazwiska historycznego. Dziś szukali tylko szczęścia dla kochanego dziecka i widzieli w Leonie wszelkie po temu przymioty.

Walentynę słabą, zbolałą — w duszy srogim zawodem zranioną — złamaną, a zobojętniałą na wszystko, — matka do przyjęcia Węgrockiego znagliła łatwo: już woli swojéj nie miała — a zobowięzywała ją szlachetność zakochanego.

„Przyzwyczai się i przywiąże" — rozumowała matka — „on jest poczciwy, kocha ją, da wygody i dostatek, więc musi być zadowolnioną, musi być szczęśliwą. Pojedziemy do wód, kuracyą przestrzegać potrzeba troskliwie, będzie miała rozrywki i pozna świat inny. Za powrotem do N. N. państwo Węgroccy będą stanowili dom ładny, jeden z pierwszych... Szkoda Leona!" — westchnęła — „dziedzic, obywatel, familiant, ładny chłopiec... ale skoro inaczéj być nie może!... Kochał się wszelako, kochał szalenie. Ha!... Wielką robi partyą. Lecz i Tynia dobrze za mąż idzie." — Pocieszała się i dobréj była myśli, nie patrząc daléj.

* * *

Ulicą Poznańską szła wdzięczna młoda postać — a raczéj mknęła — płynęła. Czarna mantynowa na niéj była suknia. Kapelusik malutki z białego włosienia, z wstążką bleu du Mexique, śliczną uwydatniał twarzyczkę — przejrzystą niby, ze szczególnym modrych oczów urokiem. Posuwała się zwolna — unosząc w czarno urękawiczkowanéj rączce, małéj a wąskiéj, białą parasolkę.

Z hotelu Berlińskiego wybiegł młody mężczyzna — w brązowym żakiecie, w kapeluszu czarnym, niskim, z niebieską wstążeczką. Biegł szybko chodnikiem, patrząc przed siebie na płyty. Na twarzy chmurnéj a przybladłéj wyrazu młodéj swobody nie było — a raczéj w rysy utajone wryło się cierpienie.

Dwie postacie zbliżyły się ku sobie bezuważnie:

Walentyna i Leon. Młody pierwszy podniósł czoło — i jękło mu w piersi. Dziewczyna zadrgnęła — spojrzała... omdlewającém spojrzeniem.

— Pani! Walentyno! stłumionym poszepnął głosem i chciał rękę jéj ująć.

Skłoniła mu zlekka — i jak cień blady obok przemknęła. Biegła — zachwiała się nagle — wypadła z ręki parasolka — z ust jéj drgających purpurowy trysnął strumień — upadła.

Leon uszedł pare kroków — obejrzał się — widział zbiegłą ludzi gromadkę, pochylili się ku ziemi, jakby coś podnosząc. Inni przydążali ciekawi... Dziwną a straszną przejęty trwogą nawrócił — sam niewiedząc, jak poniosła go stopa. W ręku dwóch kobiet z gminu leżała Walentyna — krwią oblana — z przymkniętą powieką — biała, jak aniół śmierci. Ujął ją w silne ramiona — spojrzała — głowa jéj na piersi jego obwisła... wniósł ją do bliskiego sklepu szewca, rozpaczliwie o ratunek wołając — o sprowadzenie doktora. Przykląkł, trzymając ją w ramieniach — i nie byłby jéj za wszystkie skarby świata oddał. Raz jeszcze spojrzała ku niemu — uśmiechnęła się — modre oczy bielmem zaszły — jękła — nowy krwi strumień — Leon już tylko martwe trzymał zwłoki.



Ojców.

W téj chwili nadszedł doktor.

Kobiety ułożyły zgasłą dziewicę na ławce. Leon stał obok zdrętwiały — zmartwiały — bezprzytomny.

— Przyślę powóz — wymówił doktor do szewcowéj, płaczącéj nad śliczną panienką — obrzucił Leona, krwią zbryzganego, paletotem swoim, uprowadził go do hotelu.

W półgodziny potém leciał czworokonny koczyk wśród pól zielonych — przewonionych wiosną — a w nim siedział młody mężczyzna, blady jak mara, z zaciętą wargą — z podkrążonemi sino oczami — jakby bez wiedzy czucia — jak kataleptyk.

Nie upłynął tydzień a rozeszła się po okolicy Światoszewa wiadomość, że panna Eugenia panu Leonowi Wiesławskiemu odesłała pierścionek — i że państwo Gorzeliccy z córką i synem, hożym uczniem akademii agronomicznéj w Eldenie, nagle do Krakowa wyjechali, zkąd do Bardyowa udać się mieli.

Żal w całém N. N. był ogólny a szczery. Pani Żeglińska przez godzin kilka wpadała z jednego omdlenia w drugie. — Pan Węgrocki chodził jak obłąkany — a po pogrzebie na wystawę paryską pojechał.

KONIEC.

Z gór.

Spoki rozgniewane, żem ich czoła zdeptał,
Urągały mi dziko twarzą granitową,
Wzburzyły chłodny strumień, aby groźby szeptał,
I w echa roździerały każde moje słowo.

Zemsta kipiała w około: z dołu ptaków stado
Pobłyskiwało ku mnie skrwawioną źrenicą,
A po niebie przepływał obłok z twarzą bladą
I z mojego zuchwalstwa śmiał się — błyskawicą.

Zemsta kipiała w około... Ha! mścij się naturo!
Powlecz całe niebiosa jedną burzy chmurą —
Dla mnie roskosz — spoglądać w twoją twarz ponurą!

Gdy się zwali opoka co wisi nademną,
Złoskotem zimnych głazów runę w przepaść ciemną,
Lecz ta chwila wspaniała — skona razem zemną!

Wacław Pomian.

Gościnny Dwór za Żelazną Bramą w Warszawie.

(Z ryciną.)

Jak wiele innych miast stołecznych tak i Warszawa rozwijała się zwolna, ściągając do siebie ludność przemysłową, która osiadała już to w mieście samém, już w jego pobliżu budowała się i tworzyła tém samém okoliczne osady. W ten sposób powstawały przy starém mieście, zwaném zwykle starą lub koronną Warszawą, małe miasteczka, posiadające własną i niezależną juryzdykcyą i urzędy municypalne. Tak na początku XVII wieku istniały w zachodniéj stronie staréj Warszawy dwa miasteczka: Leszno i Grzybów nie w wielkiém od siebie oddaleniu.

Na przestrzeni pomiędzy Lesznem a Grzybowem, posiadała znaczną ilość gruntów siostra rodzona królowéj polskiéj, Maryi Kazimiry, wdowa po Janie Wielopolskim, kanclerzu wielkim koronnym, i widząc w okół licznie wznoszące się domostwa mieszczan, którzy tam dla handlu osiadali, wyrobiła w r. 1693 tej nowéj dzielnicy, nazwanéj Wielopolem, osobną juryzdykcyą i rozmaite swobody i prerogatywy. A ponieważ jak do innych większych miast w dawnéj Polsce, tak przedewszystkiem do Warszawy wielu napływało cudzoziemców, mianowicie zaś Niemców, dozwolono tedy wszystkim cudzoziemcom bez wyjątku byleby tylko byli katolickiego wyznania, osiadać na Wielopolu, osiedlających się zaś zwalniano na lat 7 od wszelkich podatków.

Nowi osadnicy za Augusta II mając zapewnione przywilejem z 1701 r. oddzielny zarząd miejski i oddzielne sądownictwo, pozyskali tém samém ugruntowane bezpieczeństwo i szybki wymiar sprawiedliwości, tyle niezbędny dla kupców i przemysłowców. Za panowania tegoż króla wpłynęły inne jeszcze okoliczności na podniesienie nowéj téj dzielnicy, która z czasem miała się stać jedną z najwięcéj ożywionych części Warszawy. Król August założywszy swoją rezydencyą w nowo wybudowanym pałacu w r. 1724, urządził przy nim wspaniały ogród Saski. Liczny dwór królewski, żyjący wystawnie, podawał mieszkańcom Wielopola liczne środki zarobkowania. Nie mniejszy wpływ wywarło założenie przez tegoż króla w pobliżu trzech gmachów, to jest dwóch koszar dla gwardyi królewskiéj i pierwszéj budowli starego teatru, gdzie już od r. 1725 dawano widowiska.

Początkowo zwano tę nową część miasta Targowicą Wielopola, albo przez skrócenie Targowicą. Później przy końcu XVIII wieku, kiedy wszystkie przytykające do staréj Warszawy miasteczka, posiadające oddzielne magistraty, zostały oddane pod jeden zarząd municypalny stolicy, miejsce to nazwano targiem za Żelazną bramą dla tego, że brama z dotykającego ogrodu Saskiego wychodząca ku téj stronie, była zrobioną z żelaza, co w owych czasach było jeszcze nowością.

W ostatnich dopiero czasach, bo w r. 1841, gdy ruch handlowy zaczął się coraz więcéj wzmagać, zabrano się za starannym wpływem jenerała Rautenstraucha do wybudowania wielkiego bazaru, przypominającego Sukiennice krakowskie, którybу mógł pomieścić w sobie znaczną ilość składów kupieckich.

Nowe te Sukiennice warszawskie, Gościnnym Dworem zwane, które nam przedstawia rycina umieszczona na czele Sobótki, upiększone arkadami kolumn z żelaza lanych, obejmują sklepów numerami oznaczonych 168, pod któremi urządzone są obszerne piwnice.

O. D.

Ojców.

(Z ryciną.)

Niedaleko od Krakowa leży w cudnéj okolicy Ojców, stary zamek sięgający w odległe czasy przeszłości naszéj.

Wiadomo z dziejów, że Wacław, król czeski na zasadzie zmyślonego testamentu przez Gryfinę, wdowę po Leszku Czarnym, dobijając się do tronu polskiego, wszedł z wojskiem do ziemi Krakowskiéj, którą też jak i resztę kraju zagarnął. W roku 1303 pozbawiony berła Władysław Łokietek, wróciwszy z Węgier, gdzie przeciw Wacławowi szukał pomocy, przebywał jakiś czas tajemnie u wiernych sobie Małopolan. Król Wacław chcąc usunąć groźnego choć władzy pozbawionego przeciwnika, nasadził nań siepaczów. Ostrzeżony o zasadzce Łokietek, nie czując się dość silnym, aby mógł wystąpić jawnie przeciw przywłaszczycielowi, schronił się w niedostępne jaskinie około Krakowa, gdzie przychylny lud żywił potajemnie nieszczęśliwego króla. Kazimierz Wielki, syn Łokietka, objąwszy rządy, na pamiątkę tułactwa swego ojca, wybudował w pobliżu pieczar zamek i nazwał go Ojciec. Z upływem czasu miano to na Ojców przeistoczone zostało.

Nim broń palną wynaleziono, zamek ojcowski na skale wystawiony, trudny był do zdobycia i dopóki nie przeszedł w ręce starostów, dopóty w dobrym i obronnym utrzymał się stanie. Wszakże już w roku 1620 przed pierwszą wojną szwedzką zrobiona lustracya znalazła

Ojców prawie w ruinie. Starosta Michał Koryciński przyprowadził go do lepszego stanu, lecz wnet, bo w r. 1655, po zajęciu zamku przez wojska szwedzkie, znowu zrujnowany został.

Zszedłszy kilkadziesiąt kroków na dół po stroméj górze, na któréj wznoszą się mury ojcowskiego zamku, wchodzimy przez szeroki otwór do wielkiéj pieczary, w środku podpartéj filarem przez naturę utworzonym. Długość téj podziemnéj pieczary wynosi do 200, a szerokość do 60 stóp. Okopcone ściany i sklepienia, jako też podstawa jaskini, wyłożone są rozmaitemi krystalizacyami. Atoli nieustanni goście, zwiedzający tę pieczarę, złupili ją z osobliwości, jakie tutaj w krystalizacyach przyroda nagromadziła; teraz zaledwie jaki szczątek da się odłamać.

W jaskini téj wązki otwór prowadzi do innych pieczar, które się rozchodzą w rozmaitych kierunkach Jedna z tych pieczar zowie się **królewską**. Tu to Władysław Łokietek, ścigany od zażartych nieprzyjaciół, schronił się, tutaj wierni tajemnemi ścieżkami przynosili swemu monarsze pożywienie i zawiadamiali go o obrotach Czechów.

Jaskinia ta w roku 1787 widziała jeszcze jednego króla polskiego i to ostatniego. Stanisław August wracając z Krakowa dla obejrzenia tutejszych okolic, wstąpił do królewskiéj pieczary, gdzie według opisu Naruszewicza wspaniale był przyjmowany. Dumając nad nieszczęściami, które ścigały Władysława Łokietka, czy przeczuwał ostatni król polski, że i on jak niegdyś król Łokietek będzie pozbawiony i korony i kraju — i że mniej szczęśliwy od Łokietka, nigdy do niego nie powróci?

W ostatnich czasach, w roku 1863, podczas powstania zbierały się tu w pieczarach i okolicach Ojcowa zbrojne zastępy ochotników, i robiąc wycieczki, staczały dość pomyślne walki z żołdactwem barbarzyńskiéj Moskwy.

O. K. P.

ROZMAITOŚCI.

(Morlaczki.) Walczący teraz w Dalmacyi (w Kotorze) Serbowie nazywają się Morlakami, ponieważ nad morzem mieszkają. O kobietach Morlaczkach tak pisze pewien austryacki oficer z armii działajacéj w Dalmacyi: „We wszystkich niemal oddziałach powstańczych znajduje się mnóstwo niewiast. Nosząc prowianty i amunicyą za walczącymi mężami, idą za nimi w najstraszniejszy ogień, aby unosić rannych i dodawać ducha walczącym głośnym krzykiem i szyderstwami na nas miotanemi; zbierają i znoszą im kamienie, któremi na nas rzucają, w ogóle są równie niebezpiecznymi nieprzyjaciołmi, jak sami powstańcy ze swemi długiemi strzelbami i przerażającém wilczém wyciem, które regularnie zawodzą przed rozpoczęciem ognia ze swych kryjówek skalistych. Morlaczki okazują nadto przerażającą dzikość i okrucieństwo, i wściekają się jak furye na nieszczęśliwych żołnierzy, którzy ranieni lub znużeni popadają w ich ręce. Gdyśmy byli przymuszeni 25 października straszną staczać potyczkę w wąwozie Han na wzgórzach Zagwozdaku, w któréj nasz dzielny, energiczny pułkownik Jowanowicz otrzymał ciężką ranę w nogę, sam widziałem kilka razy, jak niewiasty chwytały za strzelby mężczyzn i bez ustanku do nas strzelały. Wysoka, tęga niewiasta, nie bardzo już młoda, stała na szczycie skały wznoszącéj się po nad nami około 500 stóp i z długiéj, dalekonośnéj strzelby swéj paliła do nas z taką pewnością, że od strzałów jéj został jeden z naszych żołnierzy zabity, drugi raniony. Nasi strzelcy wzięli ją tedy na cel. Kule świstały jéj ponad uszami, i na prawo i na lewo wpadały w skałę wapienną. Nie trafiały jéj jednak długo i widzieliśmy, jak potém wywijała długą bronią po nad głową, szyderczym wrzaskiem przeklinając nasze wojsko. Nareszcie wymierzył do niéj podoficer uchodzący za najlepszego strzelca w całym pułku i trafił ją w same piersi. Chwyciła się jeszcze obu rękami za serce, zatoczyła się i spadła ze szczytu skały o jakie 70 kroków od nas. Widzieliśmy potém ciało jéj martwe zdruzgotane w kawałki; w ostrych, surowych rysach jéj śmiałéj twarzy znać było wyraz najwścieklejszéj nienawiści.“

(Orzeł Polski.) W Waszyngtonie, stolicy władz naczelnych Ameryki północnéj, zacznie wychodzić dziennik polski pod napisem **Orzeł polski**. Wydawnictwo ma firmę „Dr. A. Sacconi i Spółka, Washington, Ms., Franklin Con. United Stat s (America). Oto co pisze p. Sacconi:

Widząc brak kształcenia języka naszego na ziemi tułactwa i obumarłość patryotyzmu, chcąc na wolnéj ziemi wskrzesić i ożywić braci naszych, uznaliśmy wydawnictwo gazety polskiéj za niezbędną konieczność.

Tym tylko sposobem jesteśmy w stanie ten obszar zbłąkanych w pustkowiach Ameryki braci naszych w jednę zgromadzić całość i odszczepieństwu i łączeniu się w małżeństwa z obcemi zapobiedz narodami. Iluż tu naliczyć możemy Polaków, którzy ongi życie w ofierze ojczyźnie nieśli, a dziś niestety, tychże dzieci własnego ojca wymowić nie mogą nazwiska

Przez egzystencyą polskiéj gazety zdołamy braciom ich święte na tułactwie przypomnieć powołanie.

Przygotowania w tym celu z funduszów własnych uczyniliśmy tak dalece, że w pierwszych dniach stycznia roku przyszłego pierwszy wyjdzie numer pod tytułem Orzeł polski.

Dz. P.

Sprawa stałego Teatru polskiego w Poznaniu.

Nie ma zapewne tak obojętnego Polaka, w którym tylko serce polskie a uczciwe bije, ażeby się nie miał żywo interesować sprawą narodowego teatru, który publiczność nasza życzy sobie mieć w Poznaniu. Nie małą zasługę około téj sprawy położyło tutejsze Towarzystwo Młodych Przemysłowców. Obu przedstawieniami teatralnemi, które się pod każdym względem świetnie udały, zainteresowało ono sprawą teatru narodowego nie tylko wyższe, inteligentne klasy naszéj społeczności, ale nadto, co nie mniéj ważna, poruszyło w tym kierunku umysły warstw niższych. Już w jednym z poprzednich numerów Sobótki zwróciliśmy uwagę publiczności na ten zaprawdę pocieszający objaw ogólnego zajęcia się jedném z najważniejszych zadań narodowych, na ten pocieszający objaw, który jest wymowném świadectwem, iż społeczność nasza pod zaborem pruskim nie karłowacieje, ale owszem coraz więcéj nabiera sił żywotnych, iż poczucie narodowe coraz silniéj przenika wszystkie warstwy nasze.

Z objawu tego należy korzystać, bo siła żywotna każdéj narodowości nie polega na tém, że pośród niéj znajdzie się kilku szlachetnych mężów, oddanych duszą i ciałem sprawie narodowéj, kilku przewodników, zaszczyconych publiczném zaufaniem i poczuwających się do obowiązku czuwania nad sprawami publicznemi, siła żywotna narodu nie polega na tém, że jedna tylko i zawsze ta sama klasa, jak u nas szlachta, przoduje w wszystkich pracach społecznych i ponosi tém samém cały ich ciężar, ale na tém, że ile możności wszystkie warstwy społeczne od najwyższych do najniższych biorą stósownie do sił swoich tak moralnych jak i materyalnych odpowiedni udział w wszystkich sprawach i pracach narodowych. Zaprzeczyć się nieda, że w naszém, jakkolwiek wcale nie rozpaczliwém, wszakże smutném a krytyczném położeniu, mamy wiele obowiązków względem siebie, że mamy przed sobą wiele innych zadań jeżeli nie więcéj, to z pewnością od założenia teatru polskiego w Poznaniu nie mniéj ważnych, wszakże żadna inna sprawa nie umiała tak gorąco i w tym stopniu zająć ogółu naszéj publiczności, jak właśnie sprawa teatru narodowego.

Spojrzyjmy na inne nasze prace społeczne, które także wymagają ogólnego udziału całéj społeczności, czy dostrzeżemy tam tego samego objawu? Wszakże to od lat 25 istnieje Towarzystwo Naukowéj Pomocy, założone przez niezgasłéj pamięci Karola Marcinkowskiego. Czy znajdujemy w téj instytucyi, tak zbawiennéj w swoich skutkach, równy udział klas interesowanych? Obywatelstwo ziemskie, które jako takie jest osobiście bardzo mało albo wcale nie interesowane, daje prawie wszystkie fundusze, te zaś klasy społeczne, które jedynie z tychże funduszów korzystają, czy objawiają odpowiednie zainteresowanie się tą instytucyą w stósunku do dobrodziejstw, jakie przez nią osięgają?

W ostatnich czasach urządzano u nas w interesie wychowania młodzieży wiece szkólne. Któż bierze w nich udział? Ci, dla których wiece szkólne nie są potrzebne, to jest inteligencya. Kto się niemi najmniéj zajmuje? Ci, dla których właśnie wiece zwołano, t. j. klasy średnie i niższe, które, grzesząc przeciw sobie i dzieciom swoim, zaniedbują tychże wykształcenie. A przecież w jednym i drugim przypadku, czy zamożni z mniéj zamożnymi, wykształceni z mniéj wykształconymi, nie powinni iść ręka w rękę i w wspólnéj pracy wspólnemi działać siłami, jeżeli i jedni i drudzy wspólny i równy mają interes w tém, ażeby wzmocnić i utrwalić podstawy egzystencyi naszéj?

Sprawą teatru polskiego interesują się dzisiaj, rzec można, wszystkie warstwy naszéj spółeczności, w równym stopniu, obywatele ziemscy i mieszczaństwo, zamożni i mniéj zamożni, wykształceni i mniéj wykształceni. Nie jestto wcale drobnostką, że sprawa teatru została tak praktycznie podniesioną przez Towarzystwo, którego członkowie należą do klas średnich, do klasy rzemieślniczéj. Owe dwa przedstawienia dane w mieście naszém przez Towarzystwo Młodych Przemysłowców spopularyzowało sprawę teatru narodowego między średniemi klasami stokroć bardziéj, aniżeliby tego dokazało tysiące artykułów. Gmachy teatralne każdą razą widzami przepełnione dowodzą jasno, jak bardzo między średniemi klasami u nas jest rozbudzona potrzeba narodowych widowisk scenicznych, o uczuciach narodowych zaś klas wyższych, pomiędzy którémi wprawdzie znajdują się gorszące wyjątki, nie pozwalamy sobie wątpić ani na chwilę. To też żywimy tę niepłonną nadzieję, że projekt założenia stałego teatru polskiego w Poznaniu, znajdujący tak ogólny oddźwięk i powszechne poparcie w wszystkich warstwach narodowości naszéj nie tylko pod zaborem pruskim ale i austryackim, uwieńczony zostanie jak najpomyślniejszym skutkiem.

Nadzieja ta stała się tém silniejszą i pewniejszą, gdy na walném zebraniu członków komitetu teatralnego, odbytém na dniu 18 m. b. w sali bazarowéj, zgromadziło się przeszło 70 obywateli, tak z prowincyi jak i z miasta Poznania, i objawiło jak najszczersze i najgorętsze życzenie wprowadzenia w życie narodowéj sceny w Poznaniu. Na 140 przeszło listów, które dotychczasowa komisya teatralna wysłała do obywateli Księstwa Poznańskiego i Prus Zachodnich, odpisało przeszło 90, z których większa część oświadczyła się popierać projekt rzeczony tak moralnie jak i materyalnie.

Walne zebranie komitetu teatralnego, któremu prezydował Adolf hr. Biński, uchwaliło po dłuższych naradach, rozbierających wszechstronnie projekt założenia stałego teatru w Poznaniu, wniosek p. Bentkowskiego, ażeby dyrektorowie dramatyczni, pan Sztengel i p. Nowakowski, którzy z umysłu na zebranie powyższe z Galicyi przybyli, sami na swoją rękę wzięli się do założenia sceny polskiéj i porozumieli się z komisyą, w tym celu wybraną, którąby im zapewniła środki utrzymania sceny. Stósownie do wniosku p. Bentkowskiego wybrano do komisyi teatralnéj pp. Adolfa hr. Bnińskiego, drą. Jarnatowskiego, Leona Smitkowskiego i Teodora Żychlińskiego, redaktora Dzienn. Pozn.

Taki był rezultat walnego zebrania komitetu teatralnego. Należy się pocieszać nadzieją, że nowo obrana komisya dołoży wszelkich starań i przedsięweźmie stósowne środki, ażeby przyjść w pomoc, jeżeli tego będzie potrzeba, dyrektorom sceny polskiéj, pp. Sztenglowi i Nowakowskiemu, którzy oświadczyli się na zebraniu, że po Nowym Roku rozpoczną przedstawienia sceniczne. O ile nam wiadomo, panowie ci mają zamiar zawrzeć kontrakt z p. Szwemerem, dyrektorem tutejszego teatru niemieckiego, tak ażeby mogli dawać tygodniowo 4 przedstawienia i to dwa w teatrze miejskim, dwa w teatrze letnim. Pan Szwemer, który początkowo czynił pewne trudności, stawił podobno w końcu takie warunki, iż pp. Sztengel i Nowakowski mogą je z łatwością przyjąć bez obawy narażenia się na wielkie ryzyko. Jest więc wszelka nadzieja, że od Nowego Roku polska ludność Poznania będzie się cieszyła narodową sceną.

Wszakże na tém jeszcze nie kończą się zachody o utrzymanie stałego teatru polskiego w Poznaniu. Gazeta Toruńska w nr. 294 słuszną zrobiła uwagę, że nie dość było uznać potrzebę subwencyi dla przedsiębiorców, ale nadto wypadało wybranéj komisyi poruszyć obmyślenie środków do nabycia na własność, lub zbudowania z czasem gmachu teatralnego.

Uwaga ta jest bardzo słuszną; spodziewać się wszakże należy, że komisya teatralna i o tém z czasem pomyśli i przedłoży publiczności naszéj odpowiedni projekt, w jaki sposób zbierać fundusze na zbudowanie teatru polskiego. Na dziś zyskamy bardzo wiele, gdy będziemy posiadali w stolicy Wielkopolski scenę narodową. Z czasem, pod zbawiennym wpływem téjże sceny, zapał publiczności do sztuki narodowéj nie wątpliwie się podniesie i gotowość do ofiar będzie większą. Wielkość funduszów potrzebnych na zbudowanie gmachu teatralnego nie powinna nas wcale odstraszać; Czesi, którzy przez lat kilkanaście zbierali kapitały na teatr narodowy w Pradze, niechaj nam w téj mierze służą za przykład. Jakkolwiek nasze zasoby materyalne są słabe, jakkolwiek obowiązki nasze względem interesów narodowych są wielkie, toć wszakże nie trzeba nam wątpić, abyśmy pomiędzy sobą nie mieli z czasem zebrać dostatecznych funduszów na zbudowanie i utrzymanie teatru narodowego, który koszta materyalne sowicie nam wynagrodzi swoim wpływem moralnym. W Księstwie Poznańskiém i Prusach Zachodnich oprócz składek, które mogą się zwykłym trybem zbierać, mają zamiar wszystkie towarzystwa amatorskie ofiarować czysty dochód z przedstawień na fundusz przyszłego gmachu teatralnego. Będzie to wprawdzie grosz wdowi, ale grosz, który w przeciągu pewnego czasu może urość do sum znacznych. Nasi bracia w Galicyi także o nas jak się spodziewamy, nie zapomną, jak i my o nich nie zapominamy, ile razy nadarza nam się sposobność podać im dłoń bratnią i bratnim uściskiem przypomnieć sobie, że mimo rozdziału politycznego nie przestajmy być dziećmi jednéj matki, dziećmi jednéj ojczyzny. A Mrówka lwowska, która pierwsza z pism galicyjskich rozpoczęła zbierania składek na przyszły teatr polski w Poznaniu, ofiarując sama z własnych funduszów na początek 10 złr., niechaj przyjmie od nas w imieniu braci Wielkopolskiéj szczere podzięki.

Bez ofiar, bez poświęcenia, bez serca narodowego, niczego oczywiście w téj mierze nie dokażemy. Tylko wspólnemi siłami wznieść można teatr narodowy w Poznaniu i tylko wtedy, jeżeli wszystkich serca będą biły szczerém uczuciem narodowém, a nie będą skażone narodową herezyą. To też wyznać należy, że przykrego wrażenia doznali zgromadzeni na walném zebraniu dnia 18 m. b., gdy sprawozdawca komisyi teatralnéj przytoczył treść listów w odpowiedzi nadesłanych przez kilku poważnych obywateli, którzy w sprawie teatru narodowego swego udziału wręcz odmówili. Ale oburzenie wielkie ogarnęło zgromadzonych, gdy sprawozdawca przytoczył treść listu pana Hazy z Radlic, ktory pominąwszy to, że odmówił udziału (do czego zresztą nikt nie ma prawa go przymuszać, bo obowiązki narodowe nie gwałcą wolności woli) śmiał przecie rzucić obelgę, niczém nie usprawiedliwioną, na teatr narodowy, upatrując w nim przybytek zgorszenia publicznego i propagandę bezwstydu. Co p. Haza z Radlic sobie myśli — Bóg widzi, trudno odgadnąć. Przed pół rokiem, kiedy naród cały w bolesnéj żałobie czcił pamięć króla, którego zwłoki Opatrzność dozwoliła nam odszukać w tych dniach gorzkiego ucisku, p. Haza z Radlic zamieścił list w Gazecie Tor., i o Wielkim królu, który zostawił Polskę murowaną, wyraził się jak o starym grzeszniku, który bałamucił „żydówki i żydoweczki". Dziś rzuca obelgi na teatr narodowy. Czy p. Haza z Radlic zastanowił się nad tém, że kto wyraża się w ten sposób o sprawach nie swoich, ale publicznych, równocześnie podpada sądowi opinii publicznéj? Pan Haza z Radlic wcale się nad tém nie zastanowił, i sąd opinii publicznéj musi mu być zupełnie obojętny, bo tylko taki człowiek w taki sposób może się wyrażać o najświętszych uczuciach narodu.

Jeżeli zresztą list p. Hazy z Radlic wywołał oburzenie, to przecież niczém sprawie nie zaszkodził, bo, chwała Bogu, uczucia narodowe są u nas jeszcze dość silne, i wolno nam mieć nadzieję, że podobne wsteczne a przewrotne dążności przebrzmią bez śladu, jak wszelka przewrotność bez śladu marnieje. *

Szarada.

Pierwsze jest pierwszém w naturze,
Drugiego szukaj w pięknéj krainie —
Lecz i w szaradzie nieraz popłynie.
Drugie i trzecie najmilsze swoje —
Staczano o nie procesa i boje.
Trzecie i czwarte było na tronie —
Choć nie w koronie.
Całe dotąd niezrównane —
I nigdy nie zapomniane.

(Rozwiązanie szarady w nr. 51: ***Pierścień.***)

PUSZKA DO LISTOW.

Panu N. N. pod Rakoniewicami. Dziękujemy. — Panu R. w Poznaniu: Spóźnione. — Panu S. K. w Lwowie: W styczniu r. p. rozpoczniemy druk. — Panu S. w Krakowie: Odpowiedzi dotąd nie otrzymaliśmy.

Od Redakcyi.

Szanownych abonentów Sobótki prosimy o wczesne odnowienie przedpłaty na przyszły kwartał. — Z Nowym Rokiem rozpoczniemy w piśmie naszém druk powieści pana Zacharjasiewicza: „Milion na poddaszu."

Redaktor odpowiedzialny: Dr. Roman Szymański w Poznaniu, Lipowa ul. nr. 2. — Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznaniu. Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.